



Wiesław Kot

TRYBUNA NAUCZYCIELSKA

RZADKO NA ICH WARGACH

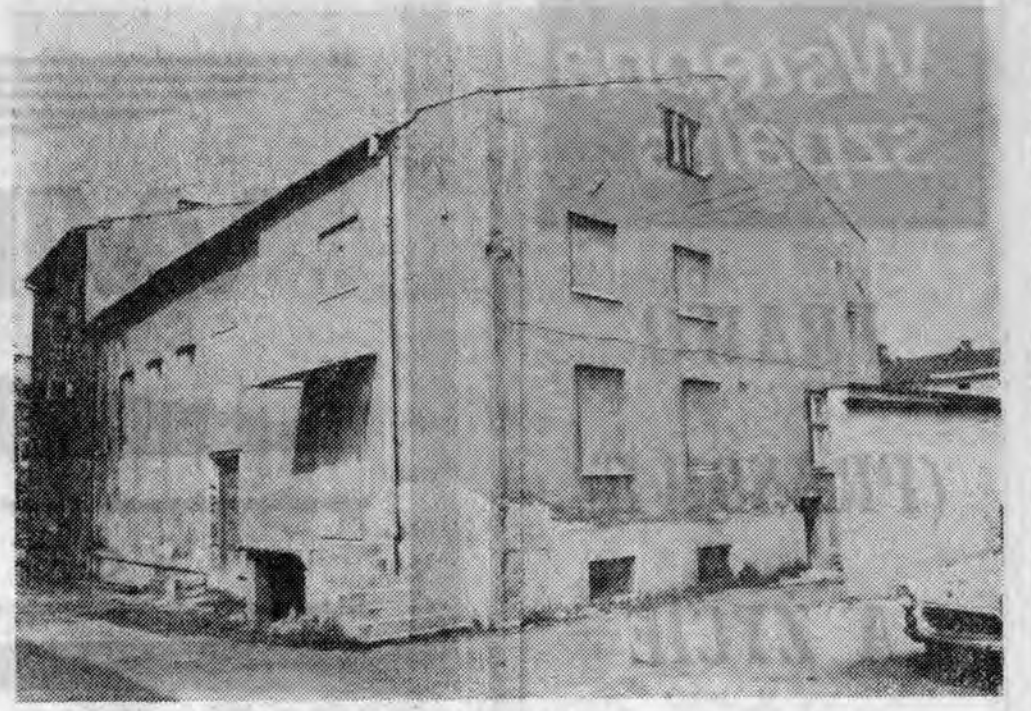
Proces wychowania, czyli kształtowania osobowości, jest bardzo trudnym i wymagającym wielu, często niewdzięcznych, zabiegów wychowawczych skierowanych na młodego człowieka. Ów młody człowiek nie wie jeszcze co jest zło, a co dobre. Wie natomiast bardzo dobrze co przyjemne, a co ciężkie. Skądinąd wiadomo, że to przyjemne i łatwe nie zawsze bywa dobre i pożyteczne. Często okazuje się zło, nawet wręcz szkodliwe. I tu powinien wkroczyć dorosły, ukształtowany już człowiek, który jest w tej materii doskonale poinformowany, co więcej, chce według społecznie aprobowanych zasad postępować i robi to. Taki właśnie człowiek nadaje się na wychowawcę. Nie ważne jak go nazwiemy. Może to być nauczyciel, opiekun kółka zainteresowań, trener w klubie sportowym i każdy przecho-dzień z ulicy. Powinni to być przede wszystkim rodzice. To właśnie oni przebywają z dzieckiem na co dzień. Oni uczą je od zarania podstawowych, a niezbędnych w społeczeństwie, nawyków i zachowań. Tylko rodzice mogą naprawdę ukształtować do podstaw charakter dziecka. Szkoła i różne instytucje edukacji pozaszkolnej mogą jedynie uzupełnić oddziaływanie na dziecięcą osobowość o treści, których dom ze względu na swój specyficzny charakter, nie jest w stanie mu dostarczyć. Na pozór wydaje się, że dziecko, przebywając w szkole i świetlicy około sześć do ośmiu godzin dziennie, może się zmienić i na nowo ukształtować. Nie podobnego. Dziecko przenośi na teren szkoły wszystkie nabyte w domu rodzinnym zachowania i nawyki. Jest święcie przekonane, że tylko ojciec i matka wiedzą najlepiej co należy robić, by dawać sobie w życiu radę. Jeżeli nawet uczniowie dają się namówić do innego postępowania, to tylko na użytek szkoły. Po wyjściu z budynku, nawet w obecności nauczyciela, natychmiast ujawniają swe prawdziwe myśli i przekonania. Wynieśli je bowiem z domu i one są najtrwalsze.

dzień, która codziennie rano wylega na ulicę i zmierza do szkół. Jest zadbana, czysta ubrana w piękne, bogate nieraz stroje. Często za bogate jak na szkolne warunki. Biorąc pod uwagę niskie dochody niektórych rodziców, którzy nie mogą sobie pozwolić na kupienie dziecku spodni lub sukienki za kilka tysięcy złotych, można się i w tym dopatrzeć wychowawczej nieostrożności. Bo czy wszystkie, nieraz bardzo drogie ubrania, które dziecko posiada, musi od razu ubierać idąc do szkoły? Po pierwsze, dziecko ciągle boi się, żeby nie zniszczyć nowego ubioru. Po drugie, często czuje się lepsze od innych, co deprymuje pozostałych uczniów. Czy nie można by z tym zacząć tych kilka czy kilkanaście lat, aż dziecko samo zdecyduje czy droższe ubranie jest powodem do wyjątkowej dumy? Może dojdzie do wniosku, że o wartości człowieka decydują jeszcze inne niekoniecznie materialne, cechy. Bo w rzeczywistości już z ust najmłodszych można usłyszeć na ten temat, delikatnie mówiąc „różne” komentarze. Uczeń pierwszej, drugiej czy trzeciej klasy jest bardzo dumny i ważny, że jego ojciec czy też matka przebywa na Zachodzie i dlatego on (ona) podczas lekcji, nie bacząc na uwagi nauczyciela, żuje amerykańską gumę i przechwala się różnymi nowinkami „stamtąd”. Nie mam nie przecieko ciężkiej pracy rodziców wyjeżdżających z kraju. Nie kieruję się również zażądaniem. Mam do nich pretensje jedynie o to, że nie umieją przygotować dzieci do korzystania z owoców swojej pracy.

Przykład drugi. Nauczyciel idący ulicą czy wychodzący do szkoły rzadko słyszy od dobrze znanych mu uczniów konwencjonalne „dzień dobry”. Czynią burliwie rozwijając się cywilizacja tak bardzo przytępila ich zmysły i zdolność kojarzenia, że patrzy przez kilkadziesiąt sekund na dobrze znaną im osobę i nie potrafią sobie przypomnieć, że ją już gdzieś widzieli? Nie upominam się o umowne dwa słowa, bez których ulica idzie się równie dobrze. Chodzi przede wszystkim o przyszłość ludzi, którzy mają dziś siedem, dziesięć czy dwanaście lat, a za lat kilka lub kilkanaście staną się dorośli i pójdą w życie. Wtedy tak podstawowa niezdolność zapamiętania się w społeczeństwie może na ich życiu mocno zawazyć. Oczywiście, mówiąc to, nie miałem na myśli jedynie wspomnianego „dzień dobry”. Był to jedynie pretekst do ujawnienia innych zachowań, które nigdy nie powinny mieć miejsca. I tu przechodzę do przykładu trzeciego. Myślę o wyjątkowym rozwydrzeniu niektórych uczniów podczas lekcji i innych zajęć. Nie waham się użyć tego słowa. Nauczyciel, oprócz przekazywania dzieciom podstawowych treści z dziedziny społecznej zachowania się, których nie może dać dom, ma jeszcze do spełnienia wiele innych zadań. Najważniejszym jest realizacja ogromnego, przecież programu dydaktycznego. Dzieci zdają się mu wybitnie w tym przeszkadzać. Chyba trzymam będzie stwierdzenie, że jest w tym duża wina rodziców. To oni przychodzą do szkoły mówiąc, że dziecko jest w domu takie samo i nie wiedzą skąd się to bierze. Wtem, że rodzice przez wiele godzin przebywają poza domem, że dzieci bawią się dość długo w grupie rówieśniczej (to zresztą bardzo rozwojowe).

Ale przecież kiedyś też rodzice byli zajęci. Również przez wiele godzin nie było ich w domu. Problem nie polega chyba na ilości godzin spędzonych z dziećmi. Polega raczej na jakimś zorganizowanym i konsekwentnym stosunku do losu i przyszłości dziecka.

Z konieczności ograniczyć się jedynie do trzech przykładów. Są one chyba wystarczającymi dowodami na występowanie niepożądanych zjawisk w procesie wychowania dzieci, a prowadzonego przez rodziców i opiekunów. Życie obdarza nas sytuacjami, których nie powstydziliby się wytrawny pisarz — fantasta. Nicelowe byłoby jednak opisywanie zbyt dużej liczby przykładów. Należy się raczej zastanowić, co należy robić aby za kilka czy kilkanaście lat, gdy dzisiejsi uczniowie będą nauczać innych i wychowywać własne dzieci, sytuacja się nie powtórzyła. Czy potrafią to robić dobrze, skoro ich rodzice nie zawsze to umieją? Zdać sobie sprawę z wagi wypowiedzianego oskarżenia. Uważam jednak, że jedynie ostre i surowe słowa mogą coś w tej dziedzinie zmienić. A może już nie?... Kim wtedy staną się dzisiejsze dzieci?



Na zdjęciu: Dom Kultury w Lesku w remoncie.

Fot. W. KIRSZNER

REJONOWY DOM KULTURY w Lesku trwać będzie w remoncie. Wzrostaciarz, tego nie wie nikt. Od kucia w ścianie przez poprzedniego dyrektora minęło już kilka lat. Rok temu gotowa była dokumentacja. Przez cały rok nie udało się znaleźć wykonawcy. Czy wynika to z braku możliwości, czy stosunku lokalnych władz do problemów kultury? Jakże często słyszy się w terenie tzw. „głosy rozsądku”: „naczelników trzeba zrozumieć — najważniejsza jest troska o rolnictwo, zdrowie, oświatę, a kultura? Bez niej można żyć”. Rzadko spotyka się pogląd, że jest ona taką samą dziedziną życia jak inne, i że zarówno można na niej zarobić jak i stracić. Ale po co tracić? Często wystarczy jedna a mądra decyzja, żeby zapobiec wielomilionowym stratom. Nie tak nie obciąża społeczeństwa, jak przedłużające się remonty przy skaczących w górę cenach materiałów budowlanych i wykonawstwa. Cóż, niech w Lesku czekają dalej... Wiadomo, kto za to czekanie zapłaci...

— Sama ukreśliłam sobie bieżącą w swoją stronę — mówi dyrektorka RDK. — Zatrudniłam instruktorów, utworzyłam zespoły, a teraz nie mają one gdzie pracować. Na domiar złego spływają do placówki zamówione wcześniej materiały budowlane, urządzenia oraz fragmenty wyposażenia przyszłego, obszernego i pięknego domu kultury. Na taką placówkę czeka już m. in. kilka setek teatralnych krzesel. I czekać będzie z pewnością długo. RDK stał się magazynem.

— Ale w mieście są przecież nie wykorzystane sale?

— Jest sala w Ratuszu, ale z niej korzystano nie można, bo... znajduje się tam biblioteka i próby mogłyby jej przeszkadzać w pracy. Są jeszcze inne sale, lecz nas nie chcą tam oglądać... Póki co zespoły zmuszone są ćwiczyć w wilgotnej synagodze.

— Czy siłaczki można jeszcze zgrupować w kulturze?

— Nie chciałabym przesadzać, ale to co my robimy jest ponad nasze siły. No i oczywiście możliwości... Kosztuje wiele nerwów

samochozu, a powinniśmy pracować w tak rozległym bieszczadzkim terenie, gdzie nie zawsze można liczyć na połączenia PKS. Czasem prezentujemy teatryki z klubów „Ruch”, w Lesku i innych miejscowościach. Czasami wysyłamy nasza teatryki w teren.

— A Bieszczadzka Grupa Twórców działa nadal?

— Jest to działanie enigmatyczne. Niekiedy urządzamy wystawy prac w synagodze połączone ze sprzedażą dzieł. Z braku własnego środka lokomocji instruktorzy przewożą obrazy PKS-em i na własnym grzbiecie. Współpracuje im. Często prezentujemy twórczość dzieci i młodzieży.

— A więc dzieciarnia i młodzież garnie się do Was...

— Zwłaszcza w czasie ferii. Organizujemy im zabawy, gdzie się da, na korytarzu w Domu Kultury, w klubiku „Ruch” i w plenerze. I pomyśleć, że zbudowane ostatnio w Myczkowcach piękny dom kultury, z salą widowiskową na 200 miejsc. Z górą wiadomo, że w tej wsi, taka baza nie będzie mogła być wykorzystana.

— A więc znów wracamy do warunków lokalowych, do pięty Achillesowej kultury w Lesku...

— To nas gnębi. A czekanie na cud — dobitna. Wstyd powiedzieć, ale przede wszystkim ja staram się o znalezienie wykonawcy, ja wdeptuję ścieżki do dyrektorów przedsiębiorstw i informuję o tym naczelnika, który ze swej strony podejmuje z dyrektorami rozmowy, ale niestety, są one mało skuteczne. Wpadłam się, że są tego różne przyczyny. Wpadłam nawet na pomysł ogłoszenia w „Nowinach” przetargu na remont. Nie zgłosił się nikt.

— Dlaczego?

— Przyczyn jest w pewnością wiele, ale jedna z poważniejszych to taka, że żadne z przedsiębiorstw nie rozpocznie remontów, jeżeli w obiekcie zamieszkałym będzie nadal rodzina Jankowskich. Rzecz idzie o beznieżność, przecież mają być wymieniane stropy, kute ślany, itp.

— Przez wiele lat obiecuje się tej rodzinie mieszkanie w bloku. I słowa nie dotrzymuje. Zawsze znajduje się ktoś, ważniejszy... Jeżeli nie można zrobić wszystkiego naraz to przynajmniej po kawalku. Może należałoby zawierać umowy o wykonaniu takich czy innych prac. Jestem białym i na budowlance się nie znam, ale wiem, że z założeniami rękami dalej czekać i rozkładanie domu kultury zrucono w zasadzie na kobiece barki. Od niej też wymaga się rozporządzenia tej wielkiej inwestycji. Urząd Miasta i Gminy 6 lipca br. przysłał do mnie pismo, w którym czytamy: „Rozpocząć remont domu kultury”, „przełożyć informację dotyczącą zadań planu za pierwsze półrocze 1984 roku w zakresie remontu”, „podać wartość kosztorysu zadań”, „oraz wykonać od początku realizację zadania, stępując trudności w realizacji zadania. Wszystkie postawione jest na głowie. Czy naczelnik nie wie, że od przeszło roku cały remont został zahamowany i poszukuje się wykonawcy?

— Czym mam rozpocząć remont — zapytuje dyrektorka. Lomem?

Jedno jest pewne, że tak dalej być nie może. Jeśli się naprawdę zechce wykonać remont, to należy znaleźć również mieszkanie dla rodziny Jankowskich. Ale nie może tego dokonać dyrektorka Rejonowego Domu Kultury. Powinno to być także obowiązkiem i problemem lokalnej władzy.

Mieczysława Teodorczyk

Jak długo jeszcze...

Z uwagą przysłuchiwałam się naradzie komitetu organizacyjnego „Dni Leska”. Dużo kategorię słów: „imprezy muszą być, pieniądze będą”. Ale poza tymi zdawałoby się na pozór optymistycznymi, dającymi otuchy stwierdzeniami ukryta się wielka pustka i brak zrozumienia dla spraw kultury. No bo jakże to „Dni” będą wyglądały, jeżeli nie zatrzyma się na sobotę i niedzielę młodzież w internecie, jeśli nie będzie kiermaszy i stoisk handlowych, jeśli zawiodą zaproszone zespoły z bliskiej i dalszej okolicy. — Cały program palcem na wodzie pisany — wtrąca dyrektorka RDK — Małgorzata Bielenis — bo w wielu sprawach trudno się dogadać.

Po tej naradzie zastępca naczelnika miasta i gminy Michał Andruch znajduje kilkanaście minut na rozmowę ze mną przed wyjazdem w teren:

„Dokumentacja leży już rok. Szukaliśmy wykonawcy w Lesku i Hoczwi. Nie ma chętnych na prowadzenie remontu Domu Kultury. Te spółdzielnie i grupy remontowo-budowlane, które na naszym terenie istnieją, mają pełne ręce roboty. Kultura schodzi na dalszy plan.

Co mogę powiedzieć jeszcze? Zabezpieczyliśmy pół miliona złotych na zapłacenie dokumentacji na remont zabytkowej synagogi, którą od kilku lat zżera wilgoć. Mieszkańcy Bezmiechowej Dolnej budują w czynnie społecznym remizie strażaków. Mamy wiele kłopotów z budownictwem mieszkaniowym, w fatalnych warunkach pracuje szkoła podstawowa. Nauka kończy się często po godzinie ośmiennastej”.

i zdrowia. Kadra RDK ma ambicje, chce wiele działać na rzecz rozwoju życia artystycznego w mieście i powinno to być doceniane przez gospodarzy terenu.

— Co udało się zrealizować ostatnio?

— Poszerzyliśmy zakres propozycji kulturalnych. Działalność klub seniora, kółko recytatorskie, teatry dziecięce, kolo plastyczne, zespół wokalo-instrumentalny i tańca towarzyskiego, klub fotograficzny.

— No i oczywiście jedyny na tym terenie klub country.

— Niestety, już nie. Był to niewypał, skupiał garstkę młodych ludzi z tzw. miejskiej elity finansowej, którzy to oczekiwali korzyści związanych z wyjazdami zagranicą. W „countdownski” festiwalu i przegląd. Odprowadzali na konto stowarzyszenia klubów country w Warszawie składkę 500 złotych miesięcznie. Ze stowarzyszenia nie otrzymywali w zasadzie żadnych materiałów ani pomocy niezbędnej do prowadzenia klubowej działalności. Liczyli na wydatki pomoc finansową ze strony RDK. Sami natomiast nie mieli ochoty niczego społecznie robić. Liczyłam, że ten klub będzie tętnił życiem, że skupi pasjonatów, a nie cwaniaków.

— Skoro mowa o funduszach, czy RDK ma za co działać?

— Środki na naszym koncie nie wystarczą na pokrycie poborów do końca roku. Żeby w ogóle działać w kulturze trzeba podejmować decyzje na tzw. wariackich papierach. Mamy dość dobry zespół tańca towarzyskiego i chcemy wysłać go na przegląd ogólnopolski. Instruktorzy sami szycią stroje. Długo nie nocę stali w kolejce po buty. Pracujemy w anormalnych warunkach. Nikt z nas nie ma kąta do roboty.

— Czy sprawdzają się opieka nad terenem, wyznaczenia i obowiązki Rejonowego Domu Kultury?

— Jest to po prostu śmiešno. Nie mamy

ważną opinię, że tak, że powinni zwracać. Bo jeśli inżynier zajmuje się sprzedawaniem kwiatków — nie jest to tylko jego osobista sprawa, ale także państwa, z którego pomocy korzystał przy zdobywaniu wykształcenia. Uważam, że tylko absolwenci zasadniczych szkół przykładowych nie powinni zwracać tych kosztów — bo oni swoją pracę przez 3 dni w tygodniu już zwrócili koszty kształcenia.

Zakład powinien mieć możliwość kierowania najlepszych pracowników na kursy przygotowawcze i na studia, zaoczne i dzienne. Nie byłoby to jakiejś wielkiej grupy, ale taka szansa powinna istnieć. Uważam, że trzeba też powrócić do organizowania technikum dla produkujących robotników. W latach siedemdziesiątych działało w Rzeszowie takie technikum. Przyjmowało ludzi, którzy mieli po 10 lat pracy zawodowej i wyróżniali się w tej pracy. Znam ludzi z zakładu, którzy ukończyli to technikum i dzisiaj stanowią wartościową kadre mistrzowską. Sam jako mistrz chciałbym mieć możliwość zaproszenia 2-3 pracowników nauki w takim technikum. Decyzję o skierowaniu do technikum czy na studia trzeba by podejmować sumiennie, z udziałem wszystkich organizacji społeczno-politycznych.

Jestem też za organizowaniem kursów przygotowawczych. Słyszysz się, że młodzi ludzie skierowani na takie kursy, nie zgłaszają się, albo wyjeżdżają przed końcem kursu. A państwo za nich zapłaciło, pokryło koszty uczestnictwa w kursie. W takich przypadkach jestem za karaniem poprzez niedopuszczenie do egzaminu wstępnego.

I jeszcze jedno, skoro mówimy o uczelniach. W dyskusji po XVI Plenum zdecydowana większość pracowników naszego zakładu była za tym, żeby państwo miało większy wpływ na politykę kadrową w uczelniach i szkołach. Żeby nie było tak, że nauczyciele nakładają nieswiadomości uczniów do strachu. Młodego człowieka łatwo spro-wadzić na złą drogę. Żeby tak nie było, o to muszą stale dbać i nauczyciele i rodzice. (w)

MARZENIA I PORĄDKI ARCHITEKTÓW

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

przyjęli rozwój miasta poprzez przejście na drugą stronę Wisłoka, na jego prawy brzeg, a więc mniej więcej według koncepcji profesora Wzorka. Alternatywa gdańszczan dia Rzeszowa przewidywała skupienie budownictwa na terenach na zachód od linii kolejowej Rzeszów — Jasło, według koncepcji profesora Dziwonińskiego. Ostatecznie przyjęto koncepcję rzeszowską, lecz nie minęło nawet pięć lat, kiedy — powołano kolejny zespół do połączenia obu alternatyw. Miasto bowiem rozbudowywało się dużo szybciej aniżeli przewidywano i brakowało terenów pod nowe bloki i zakłady pracy. Kiedy już połączono obie koncepcje przestrzennego rozwoju miasta — ogłoszono konkurs na budowę prawego brzegu Wisłoka — dzielnicy Drabianka, czyli dzisiejszego Nowego Miasta.

Rozbudowując miasto według nakreślonych planów, dokonano — w nim dwóch rewolucji — urbanistycznych — w porównaniu do dawnego miasta powiatowego — w charakterze więkskim, pojawiły się — te same komunikacyjne i pojawiły się — wieszaki.

Henryk Michałski, architekt wojewódzki z lat 1902—1972 wspomina:

— Kiedy budując nową trasę przy WRN robiło się dwa pasy, pomiędzy jedną a drugą jezdnią wymyślono z białego cementu iaką betonową trumienkę. „Co pan to robi? — wolałiśmy od początku do odpowiedzialnego za te roboty inżyniera. — Nie wolno tego robić, przy ruchu kołowym jest to niebezpieczne!” Widocznie coś do niego dotarło, ponieważ wyrabiano po jakimś czasie beton i zrobiono krawężnik. Potem i ten krawężnik usunęto, robiąc jeden wielki pas jezdni, bo — inżenieer, skrytykaliśmy na dworzec... Po podobnie było przy rondzie. Dyskutowaliśmy podobnie przy członkiem Komisji Budowlanej przy Miejskiej Radzie Narodowej. Mówiłem projektantom: to rondo — to nie jest rondo. Ja sobie wyobrażam rondo co najmniej na 60 metrów, bo przecież na tym rondo można skręcić. Dlaczego tak projektujecie? Przecież... jest tu miejsce, na skrzyżowanie dwupojazdowe! Zrobmy to współznieście, żeby Rzeszów wybiegał trochę naprzód, trochę do współznieśności, a nie żył ciągle z opóźnieniem. Ale zrobiono — co zrobiono. Nawieziono 33 tysiące metrów sześciennych ziemi, wyrównano teren, a może tego się dziś nie pamięta, lecz tam był głęboki dół, głębokie obniżenie terenu — aż przogięło się w tym miejscu o rondo następująco: „Dziś wiadomo już wszystkim, że rondo musi być przetrzebione...”

Gdyby zorganizować dyskusję na temat ronda, już wtedy las wyciągniętych rąk do dyskusji. Nie ma takiego architekta w Rzeszowie, który nie posiada w tej sprawie coś do powiedzenia. Z zanotowanych głosów na

ten temat przypomniał uwagę Emila Holzera, że to sprawa, a raczej sprawka decydująca, bo „nie może mieć Rzeszów ronda wiek-szego od tego w Warszawie” i opinie Stanisława Waniucha: „Projektowałem w przyszłym środowisku trzy, poziomowe bezkolizyjne drogi kołowe przed hotelem a teraz skłaniam się do dwupojazdowego po-powolnych — przemysłowych i przelicznych...”

Weszliśmy już w okres powojennego rozwoju miasta w latach sześćdziesiątych. Wtedy to w trosce o właściwy przebieg procesów budowlanych w mieście, w powiatach, władze wojewódzkie pragnęły pozyskać kontrolera tych procesów najlepszego z najlepszych i ogłosiły na całą Polskę konkurs na stanowisko architekta wojewódzkiego.

Jedno z takich ogłoszeń, zamieszczone w tygodniku budowlanych „Fundamenty”, przeczytała w Gliwicach pani Michałska, przyciągała do świetnym wrażliwym wycieczki do Łańcuta i zaurzeczona pięknym okolic Rzeszowskiej, a mając dość zadymionego Śląska, napisała bez wiedzy męża — architekta list w jego imieniu w formie oferty konkursowej. Kiedy mąż ten konkurs wygrał i zaskoczony dowiedział się o tym, z przysłanego mu listu — namówiła go, aby pojechał do Rzeszowa zobaczyć na miejscu jak to wszystko wygląda.

Architekt Henryk Michałski przyjechał z Gliwic, gdzie miał piękne trypokojowe mieszkanie i pracując już na nowym stanowisku zgłosił się u sekretarza WRN w sprawie mieszkania dla siebie w Rzeszowie. Pełniący tę funkcję Leon Stanio zaczął mu tłumaczyć, że jeszcze w 1946 roku ludzie na tym terenie mieszkali w ziemiankach, a teraz nie jest łatwo o locum nawet dla ludzi potrzebnych województwu. Rozstano — się więc stojąc na różnych stanowiskach w sprawie mieszkania i pan Henryk wrócił do hotelu „Polonia”, gdzie miał wynajęty pokój. Okazało się wtedy, że jego walizki stoją w hallu, pokój został zajęty. Dlaczego? Bo przyjechał cudzoziemcy i trzeba było ich gdzieś ulokować. Nowy architekt wojewódzki wziął więc wystawione walizki i najbliższym podciąganiem wrócił do Gliwic... Odszukano go tam dopiero po czterech dniach — ściągając z powrotem.

Zadaniem architekta wojewódzkiego było w tym czasie między innymi czuwanie nad rozwojem wojewódzkiego miasta w miarę posiadanych wiadomości i praktyki, więc pan Henryk wszędzie swoje trzy grosze wtrącał. Pracował na tym stanowisku dziesięć lat — było to wystarczająco długo, aby stał się „rzeczoznawcą, patriotą miasta, lecz wtedy automatycznie wszedł do grupy „wiecznych malkontentów”, bo rzeszowscy architekci nie potrafili patrzeć na swoje miasto inaczej niż pod kątem jego perspektyw posiadanych — i utraczonych.

JERZY POPOW

Jubileusz 75-lecia PRZEMYSKIEGO TPN

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemysku, obchodzi w bieżącym roku 75 rocznicę swej działalności. Warto przypomnieć, iż przemyskie TPN powstało na ziemiach polskich będących wówczas w tym czasie (rok 1909) jako drugie, po Towarzystwie opolskim.

W okresie zaborów Towarzystwo koncentrowało uwagę swych członków na budowaniu w mieście kulturalnego i przemysłowego postaw wnikliwego poznawania historii ojczyzny i regionu oraz na kształtowaniu miłości do Polski. Na szczególne podkreślenie zasług w stworzeniu w tym czasie inicjatywy TPN placówki muzealnej, gromadzenie zbiorów przyrodniczych i powstawanie pracowni naukowych.

Wraz z uzyskaniem niepodległości w 1918 r. Towarzystwo nawiązało współpracę z wyższymi uczelniami Krakowa i Lwowa. W rezultacie tej współpracy w okresie międzywojennym powstały liczne opracowania monograficzne i wydawnictwa, w tym zapoczątkowano wydawanie ukazującego się do dzisiaj ROCENNIKA PRZEMYSKIEGO.

W latach okupacji niemieckiej dzięki ofiarności działaczy Towarzystwa zabezpieczono zbiory biblioteki oraz archiwum. Liczni członkowie Towarzystwa walczyli się czynnie do różnych form ruchu oporu.

W Polsce Ludowej powstały szczególnie sprzyjające warunki rozwoju Towarzystwa. Warunki te wykorzystano. Towarzystwo gatrowało pracownik naukowy — badawczy w zakresie historii i sztuki dla potrzeb środowiska gospodarczego swego terenu oraz prowadzenie prac specjalistycznych o zasięgu ogólnopolskim na terenie Politechniki Nauk i Inżynierii w Krakowie. Nauki innych centrów naukowych naukowe badawczych. Towarzystwo posiada kilkuset członków.

Zaplanowane na 26 października br. uroczystości z okazji 75-lecia TPN będą niewątpliwie okazją nie tylko do świętowania jubileuszu, ale także przyczynią się do dokonania oceny pracy tego poszerzonego agenta i nakreślenia programu działania na najbliższe lata.

JAK PRZYJMOWAĆ NA STUDIA?

Mówi STANISŁAW PLICHTA, sekretarz OOP nr 7 w „Zelmerze”, mistrz na wydziale silników:

O tym jak przyjmować na studia była mowa w dyskusji po XVI Plenum. Takie dyskusje odbywały się również w naszym zakładzie. Brali w nich udział nie tylko członkowie partii, ale także bezpartyjni.

Czy przyznawać punkty preferencyjne czy też nie? — w tej sprawie nie było zgody. Wiele osób wypowiedziało się raczej przeciwko punktowi. Przeważała natomiast opinia, że przede wszystkim trzeba podnieść i wyrównać poziom nauczania w szkołach podstawowych i średnich.

Zastanawiałem się nad jednym z punktów opublikowanej w prasie ankiety, który mówi o propozycji wprowadzenia obowiązku rocznej pracy przed studiami. Uważam, że to byłoby słuszne. Teraz często absolwentom brakuje znajomości praktyki, są tylko na-dawani teorią. Często nie znają także realiów zakładowego życia ani poziomu życia robotników.

Przypominam sobie, że w roku 1979 przyszło do zakładu trzech młodych inżynierów — absolwentów Politechniki Rzeszowskiej. Pytają, ile mogą zarobić. Wylczyłem im wtedy, że na stazu dostaną powyżej 3 tysięcy złotych miesięcznie. A jeden z nich odpowiada, że w czasie studiów dostawał od rodziców 4 tysiące. Według mnie nie był to syn robotnika.

Moim zdaniem powinno być tak: najpierw egzamin na studia, potem roczna praca w zakładzie — i opinia z tej pracy powinna decydować o ostatecznym przyjęciu na studia. Wtedy byłoby możliwe, żeby po roku pracy zakładowe organizacje społeczno-polityczne wydały opinię o kandydacie: o jego postawie, o umiejętnościach pracy społecznej, o tym jak pokazał się w zakładzie i co pożytecznego zrobił.

W dyskusji po XVI Plenum rozważaliśmy także kwestie, czy absolwenci podejmujący pracę w sektorze prywatnym powinni zwracać koszty wykształcenia. W zakładzie prze-

ważną opinię, że tak, że powinni zwracać. Bo jeśli inżynier zajmuje się sprzedawaniem kwiatków — nie jest to tylko jego osobista sprawa, ale także państwa, z którego pomocy korzystał przy zdobywaniu wykształcenia. Uważam, że tylko absolwenci zasadniczych szkół przykładowych nie powinni zwracać tych kosztów — bo oni swoją pracę przez 3 dni w tygodniu już zwrócili koszty kształcenia.

Zakład powinien mieć możliwość kierowania najlepszych pracowników na kursy przygotowawcze i na studia, zaoczne i dzienne. Nie byłoby to jakiejś wielkiej grupy, ale taka szansa powinna istnieć. Uważam, że trzeba też powrócić do organizowania technikum dla produkujących robotników. W latach siedemdziesiątych działało w Rzeszowie takie technikum. Przyjmowało ludzi, którzy mieli po 10 lat pracy zawodowej i wyróżniali się w tej pracy. Znam ludzi z zakładu, którzy ukończyli to technikum i dzisiaj stanowią wartościową kadre mistrzowską. Sam jako mistrz chciałbym mieć możliwość zaproszenia 2-3 pracowników nauki w takim technikum. Decyzję o skierowaniu do technikum czy na studia trzeba by podejmować sumiennie, z udziałem wszystkich organizacji społeczno-politycznych.

Jestem też za organizowaniem kursów przygotowawczych. Słyszysz się, że młodzi ludzie skierowani na takie kursy, nie zgłaszają się, albo wyjeżdżają przed końcem kursu. A państwo za nich zapłaciło, pokryło koszty uczestnictwa w kursie. W takich przypadkach jestem za karaniem poprzez niedopuszczenie do egzaminu wstępnego.

I jeszcze jedno, skoro mówimy o uczelniach. W dyskusji po XVI Plenum zdecydowana większość pracowników naszego zakładu była za tym, żeby państwo miało większy wpływ na politykę kadrową w uczelniach i szkołach. Żeby nie było tak, że nauczyciele nakładają nieswiadomości uczniów do strachu. Młodego człowieka łatwo spro-wadzić na złą drogę. Żeby tak nie było, o to muszą stale dbać i nauczyciele i rodzice. (w)

DOMINIK ZEMBIŃSKI



NA EKRAKACH



Niebiańskie dni

Zanim na ekranie pojawią się pierwsze, ruchome, barwne kadry „Niebiańskich dni” TERENCE MALICKA, oglądamy kalejdoskop zdjęć-autentyków z początku XX w., określających czas akcji tej ballady o amerykańskich bandosach, narzucających również a priori pewną opróczkę ostro dzielącą w filmie Amerykę na przemysłową, zaradczą już chorobą urbanizacji Wschód i rolniczy, nadal otoczony przez czystą legendę wolności Zachód.

Dwadzieścia cztery zdjęcia wybrane przez Malickę oprócz treści historycznej i informacyjnej mają również swój sens symboliczny. Scenki rodzajowe, miejska architektura, szary, przemysłowy pejzaż, nędza robotniczych dzielnic, przepięknie się w ujęciach rozpoznawalnych postaci, m. in. prezydent Woodrow Wilson w charakterystycznych pozach. Ostatnie, dwudzieste pięć zdjęcie odrywa nas od dokumentów historii, wprowadzając w fabułę filmu. Jest to bowiem stylizowany portret grającej rolę Lindy — dziecięcej komentarki, która włącza się w narrację przemawiając spoza kadru niczym narrator zastanawiający się nad wydarzeniami zachodzącymi w „jego świecie”, który nie jest jednak całkowicie wyrozumiały. Ten start Ameryki w wiek dwudziesty uruchomiony fotografiami będzie miał dalszy ciąg w fabule filmu. Dwadzieścia cztery fotografie mają jeszcze jeden sens, sens estetyczny, odciskający wyraźne piętno na plastycznej koncepcji filmu Malickiego i Almodrosa. Ich autorzy nie są bynajmniej anonimowi — to jedni z pierwszych artystów kamery fotograficznej, prekursorzy nowoczesnego amerykańskiego reportażu i portretu: Lewis Hine, Francis Benjamin Johnson, Edie Baskin. Trójka młodych bohaterów Malickiego, jak gdyby żywym wyjęta z dokumentalnych fotografii, które na krótko „ożywiają” w ologu filmu obrazami nędzarzy na przemysłowych śmietniskach i morderczej pracy w stalowni z okolic Chicago, ucieka z tego świata. Bill w poroju robotniczego gniewu zabił maistrę czy inżyniera i ratując się przed wyrzkiem ucieka wraz z dwunastoletnią siostrą i jej przyjaciółką drogą wycieczki spod prądu — na Zachód. Minimum egzystencji, przynajmniej na okres lata i jesieni, może im zapewnić sezonowa praca na ogromnym rancho zbożowym, które przez zbieg okoliczności kuszą możliwością zawładnięcia chociażby częścią tej fortuny, za cenę cynicz-

nego oszustwa i wypracowanego małżeństwa Abby z romantycznym właścicielem. Ten „czas zbiorów” to główna część filmu Malickiego — dla bohaterów szansa zdobycia spokojnej przystani, dostatniego życia, która się jednak z presją ucieczki i pożądania. Wciąż Bill i Abby igrają z losem, prosiąc o następną katastrofę przynoszącą drugie zabójstwo i konieczność dalszej ucieczki, znowu bez celu, której kresem staje się oblawa policyjna i śmierć. Mimo dużego ładunku emocjonalnego i dramatycznego fabuła w filmie Malickiego jest jedynie elementem wyjściowym, pretekstem pozwalającym reżyserowi i operatorowi zorganizować niezwykle świat, przemawiający swą „banalnością dostrzeżoną w pyle” i nobilitowaną do rangi sacrum nadającego sens ludzkiemu bytowaniu. Nie chodzi tutaj o naturę kształtującą ludzką uświadomość, ponieważ bohaterowie „Niebiańskich dni” nie są w stanie doznać takich wrażeń. Filmowanie tego świata zdominowanego przez ciężką pracę, ludzi i ich prostych rozrywek odzwierciedlających równie proste marzenia i pragnienia, filmowanie codziennych zajęć, odbywa się z wykorzystaniem zaskakującej optyki.

„Niebiańskie dni” urzekają swym romantyzmem i impresyjnością fotografiami nawet podporządkowanym klarownej, klasycznej konstrukcji tryptyku. Trójdziesiątka dominuje w tej opowieści o nieszczęśliwych rozdzielonych czasem harmonijnej szczęśliwości o przybyciu do Amerykańskiego Raju i wygnaniu z niego. To również opowieść o młodzieńczych namiętnościach i szukaniu własnej moralności, własnych wartości, którymi należałoby się kierować w życiu. Dzieło Malickiego ma również swój sens socjologiczny. Z nostalgiją spogląda on na czas przyspieszonego formowania się amerykańskiego społeczeństwa, które kształtowało się nie tyle w Nowym Jorku czy Chicago, lecz tam, gdzie stada bizonów pasły się jeszcze obok parowych kombajnów.

W filmie wystąpili: RICHARD GERE, BROKE ADAMS, SAM SHEPARD, LINDA MANZ, ROBERT WILKE, JACKIE SHULTIS i inni.

Nagroda: „Oskar” 79 za najlepsze zdjęcia, dla Nestora Almendrosa oraz nagroda za reżyserię dla Terence’a Malickiego na XXXII MFF w Cannes, 1979.

J. Ł.

„KONFRONTACJE FILMOWE 83”

Wreszcie konfrontacyjny zestaw filmów z ubiegłego roku dotarł do Rzeszowa. Prezentowany będzie w kinach „Zorza” i „Apollo” od 1 do 14 października br. Cena karnetów jest niezbyt wysoka — 850 zł za I miejsce i 700 za drugie. Filmów jest dwanaście, tworzą, jak sądzić, bardzo atrakcyjną propozycję dla każdego kinomana. Spróbujmy zatem króciutko je przedstawić, w takiej kolejności, w jakiej oglądać je będziemy na ekranie.

Na początek „THAIS”, film historyczny w reżyserii Ryszarda Bera według powieści Anatola France’a. Jego akcja rozgrywa się w IV wieku naszej ery w Aleksandrii, która była wówczas stolicą prowincji egipskiej i drugim co do wielkości miastem imperium rzymskiego. Jest to, jak powiada recenzenci, rzecz o wielkiej namiętności i mnożeniu nagich biustów i Dorotą Kwiatkowską w roli głównej.

Z kolei „GANDHI” to trzygodziny kolos, który w roku ubiegłym zdobył 8 Oscarów. Został nakręcony przez angielskiego reżysera Richarda Attenbourgha. Film ukazuje postać Gandhiego, myśliciela i ubogiego z wyboru człowieka, który zmienił historię Indii, a pośrednio i Wielkiej Brytanii, a jego wpływ trwa do dnia dzisiejszego. Ben Kingsley w roli tytułowej podobno jest wspólny, zaś przesłanie moralne filmu krzepiące. Bo film mówi też o sprawie: jak drogą pokojową, bez gwałtu, agresji można dojść swoich racji.

„WASSA” Gleba Panfilowa oparta jest na motywach sztuki Gorkiego „Wassa Zeleznowa”. Znakomitą kreację stworzyła w tym filmie Irina Czurikowa, jako tytułowa Wassia, bezwzględna burżuczka, która nie może pogodzić się z tym, że jej czas przeminął. Ze świat budowany przez nią z taką konsekwencją i uporem, tak inteligentnie i dalekowzrocznie, rozpada się jak domek z karek.

„GRA W WOJNE” zrealizowana przez Johna Badhama to film sensacyjny zbliżony tematycznie do znanego nam już z telewizji „Nazajutrz”. Opowiada o tym, jak 17-letni uczeń przypadkowo podłącza się pod komputerowy system atomowy USA i jest bliski spowodowania wybuchu III wojny światowej. Mocną stroną filmu jest wizja wojny, nie oglądanej wprost, lecz jakby w wymiarze operacyjnym, na monitorach, wyrażona tylko współrzędnymi i liczbami. I właśnie ta sucha „techniczność” relacji robi największe wrażenie.

Przeszło 70-letni autorytet ambitnego kina francuskiego Robert Bresson przedstawia nam swe trzecie (po „Lagodnej” i „Cichych nocach marzeń”) dzieło, oparte na prozie rosyjskiej. Bohater „PIENIĄDZA”, młody uczeń rzemieślnik zostaje oszukany przez sklepikarza i niesłusznie oskarżony jako oszust i kolporter fałszyfkotów. Fakt ten zmienia jego życie, czyni zeń rabusia bankowego i mordercę. Film pokazuje jak drobne małoskądne łajdactwo mieszczaństwa, obarczającego swoim draństwem człowieka uczciwego, doprowadza do istnej piramidy nieszczęścia, zbrodni i samouniwerszenia. Zupełnie innych emocji należy się spodziewać po filmie Woody’ego Allena „ZELIG”, który zyskał bardzo pochlebne recenzje amerykańskich krytyków. Zelig to człowiek o stu twarzach, król hochsztaplerów, mistrz mimetyzmu. Niemal każda scena filmu o nim, każdy epizod jego historii jest natomiast gąszczem, zartem; często o złożonej wymowie, odnoszący się nie tylko do postaci tytułowej.

Głównym tematem dramatu psychologicznego Nikity Michalkowa „BEZ ŚWIADKÓW” jest zachłanne, osobiste, egoistyczne karierowiczostwo. Co czyni ono z ludźmi, którzy niegdyś byli kochani? Na to pytanie odpowiada właśnie film, w którym oprócz dającej do myślenia analizy sytuacji obyczajowej ujrzymy wysokiej klasy wykonawstwo duetu aktorskiego: Irina Kupezenko i Michail Ulanow.

„Bez świadków” to film kameralny, natomiast „ROK NIEBEZPIECZNEGO ZYCIA” australijskiego reżysera Petera Weira jest

filmem widowiskowym. Traktującym o wypadkach roku 1965 w Indonezji, które doprowadziły do masowego wymordowania komunistów w tym kraju (blisko 2 miliony ofiar), oraz do dyktatury generała Suharto. Okrasą tego filmu jest niezwykła rola amerykańskiej aktorki Lindy Hunt, która występuje jako karzełkowaty, inteligentny chińsko-malajski fotoreporter.

„TVSIACLETNIA PSZCZOŁA” Juraja Jakubisko prezentuje wszystkie uroki filmu czechosłowackiego. A więc poetyckość, plenery, humor rodem z Hrabala, kapitalne postacie rodziny, której historie od roku 1895 po pierwszą wojnę światową obejrzymy na ekranie.

W zupełnie inny nastrój wprowadzi nas zapewne film Boba Fosse’a „STAR 80”. Jest on bowiem oparty na autentycznej historii jednej z dziesięciu roku „Playboya”, atrakcyjnej blondynki Dorothy Stratten, która wślawiła się nie tylko piękna figura, ale i tym, że w efekcie rozegranej kariery została zamordowana przez własnego męża, który na dodatek potem popełnił samobójstwo.

„BALLADA O NARAYAMIE”, film japoński w reżyserii Shohei Imamury, przemieści nas w świat ludzi zredukowanych do jednej pierwotnej funkcji, jaką jest przetwarzanie, pełny żołądek. Ma być ilustracją ujętego w normy pozbawiania się niepotrzebnych już starców (wnosi się ich na tytułową górę, aby tam skonał, chociaż często są wcale pełni sił żywotnych), jak również nie-dopuszczania do powiększania się populacji poprzez wyrzucanie noworodków na pole (sąsiada). Wszystko to obejrzymy w otoczeniu rytualnym, która jak wiadomo, służy usprawiedliwieniu takiego a nie innego postępowania.

Zakończy Konfrontacje najnowszy i ponoć już ostatni film Ingmara Bergmana „FANNY I ALEKSANDER”. Film jest obszerną kroniką rodzinną Ekdahlów, których mieszczańska egzystencja pokazana jest zarówno z ironią, jak i sentymentem. W pierwszej jego części odnajdujemy tematy, które Bergman podejmował wielokrotnie w innych filmach: niemiłość w rodzinie, brak miłości, lęk przed śmiercią i inne. Tym razem Bergman podchodzi do nich z innej strony. Zamiat oszukując ludzi w konfrontacji, szybko rozwiązuje konflikty. Bo Ekdahlowie nie są dla siebie źli, są może zbyt rozprozeni w swej miłości..., lecz zawsze potrafia się odnaleźć.

BOB



PTAKOteka



PELZACZ LEŚNY ICERTHIA FAMILIARIS/

Wiadomości samowolne

SPRAWOZDANIE

Onegdaj odbyła się uroczystość, podczas której dokonano wręczenia odznaczeń i nagród. Wręczenia odznaczeń dokonali członkowie i przedstawiciele władz. Zabierając głos, mówca powiedział, że ukierunkowanie w kierunku poprawy stoł na czelu rozważań w temacie na dzień dalszy. Wskazał on, że należy przywiązywać wagę do rozwiązywania problemów nabrających rozmiarów i doskonałości ukształtowania. Podkreślił znaczenie uroczystości dla dalszego skonsolidowania kolektywu na bazie ujednolicenia działań w kierunku wyjścia na prostą drogę. W uroczystości udział wzięli przedstawiciele OUKIP, PLSZ, KOVCX, YRTDS, FDSG, AWYM, BBBKB, JYX, ZZFU oraz QOVIN.

CENNE ODKRYCIE

Jak się dowiadujemy w Instytucie Geodyki i Geochimii dokonano cennego odkrycia. Grupa naukowców i badaczy zastosowała karboksyhemoglobiny w procesie karbonatyzacji karcinogenów, które są ważnym czynnikiem w urzyskiwaniu kontumacji konturowych osteoblastów, niezbędnych w produkcji baszbyzoków kwasoodpornych. Odkrycie ma olbrzymie znaczenie dla przemysłu garmelowego, który będzie się pomyślnie rozwijał.

SPOSÓB NA NIEDOCIĄGNIĘCIA

W celu wyeliminowania niedociągnięć trapiących niektóre przedsiębiorstwa, zwołano naradę aktywną, która było dyskusyjną o przewidywaniu trudności. W wypowiedziach dominowała dobrze pojęta troska o poprawienie efektów osmiogodzinnego dnia pracy w systemie wielomianowym. Dyskutancki podkreślił, że trzeba pracować lepiej, zmoczyć wysiłki i zwiększyć wydajność. Oklaskami przyjęto stwierdzenie jednego z dyskutanctów, który stwierdził, że dobra produkcja uzależniona jest od dobrej pracy. Do stwierdzenia tego nawiał podsumowujący dyskusję dyrektor generalny, który uwywolnił znaczenie otwartego mówienia o konieczności dobrej pracy.

ROZSADNIE UŻYTKOWAĆ DROGI PUBLICZNE

O tym, że na drogach publicznych należy zachowywać się z rozwagą, wie każde dziecko. Niestety, mimo upomnień i porad, zdarzają się nieodpowiedzialne osoby, które kierownicą i pieszko, które lekceważą zasady ruchu drogowego. W ostatnią sobotę zdarzył się na szosie J-23 wypadek, w którym uczestniczyło 25 samochodów osobowych i ciężarowych różnych marek i pojemności. Oto kierowca samochodu ciężarowego zjechał na prawa stronę jezdni, nie zauważając przeszkody w postaci latającego tam sнопка zboża. Zahamował gwałtownie, ale jadący za

nim samochód za późno się spostrzegł i wjechał mu w tył, po czym odbił się i uderzył w inny samochód, który nie zachował ostrożności i stanął w poprzek, co spowodowało dalsze zderzenia, w których udział wzięło dalsze 23 samochody, z których kilku kierowców wskazywało na stan spóznia alkoholu.

BRAK PIECZYWA

Rajd po sklepach ujawnił brak pieczywa, a także bułek i chleba. Indagowane sprzedawczynie, na pytanie, dlaczego brakuje tego podstawowego artykułu spożywczego, odpowiadały po namyśle: „A bo ja wiem?” Idąc tym tropem, reporter znalazł po wielu trudach wyjaśnienie tego zjawiska. Okazało się, że chleba nie dozwolono, bo nie została na czas wypieczona, co spowodowane zostało trudnościami obiektywnymi, jakie obiecano w trybie pilnym usunąć.

1:0 DLA ZWYCIĘZCÓW

W odbytym na wypełnionym po brzegi stadionie meczu piłki nożnej padła jedna bramka na wagę zwycięstwa. Zdobył ją napastnik gospodarzy z podania pomocnika, któremu w sukurs przyszedł stoper drużyny przeciwnej. Piłka zatoczyła koło, po czym odbiła się od sędziego i wyśladowała tuż przed nosem skrzydłowego, który z woleja przeniósł ją ponad głowami piłkarzy we właściwym kierunku. Zwycięstwo zdobywców bramki było w pełni zasłużone, co zasługują na podkreślenie.

KULTURA POTRZEBNA OD ZARAZ

Kultura jest potrzebna od zaraz, dlatego trzeba ją krzewić i upowszechniać poprzez organizowanie imprez kulturalnych o szerokim zasięgu. Dobrym przykładem może być impreza w jednej z placówek kulturalnych pod nazwą „Co wiesz o kulturze?”. Odpowiedzi były na ogół poprawne, co świadczy o wyrobieniu kulturalnym uczestniczących w życiu kulturalnym działaczy kultury.

POST SCRIPTUM

Niniejsze wydanie dedykujemy wraz z najpiękniejszymi życzeniami sobie i wszystkim kolegom po piórze z okazji jubileuszu.

PROGNOZA POGODY

Pogoda na świętego Mateusza (21.IX.) cztery niedziele się nie rusza.

HASŁO TYGODNIA

Stosujemy zasadę, iż lepsza jest dziennikarska kaczka od dziennikarskiej kobylki.

Zredagował podzespół (Serwacy Potuliny na jubileuszu)

Apel do widzów

Kto widział tamto „Wesele”?

Kto widział tamto „WESELE”, w owym czterdziestym czwartym roku, kogo wzruszyło, komu w duszy zagrało pierwszym polskim słowem ze sceny Teatru Narodowego w Rzeszowie jest proszony o kontakt listowny lub telefoniczny z „Widokregiem”.

Tak samo prosimy o kontakt z tymi widzami, którzy pamiętają tamtą „BALLADYNĘ”, reżyserowaną przez Wandę Siemaszkową, w której stworzyła niezapomnianą kreację Matki.

Wszystkich wspomnień wysłucha pilnie i z wdziękami red. KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA, rano i wieczór czekająca na głos widzów sprzed lat czterdziestu POD NUMEREM TELEFONU 347-14.

PRZED OGÓLNOPOLSKĄ WYSTAWĄ „DROGI DO ZWYCIĘSTWA”

W roku przyszłym, w maju, w salach wystawowych warszawskiej „Zachęty” zorganizowana zostanie, w związku z obchodami 40 rocznicy zwycięstwa nad faszystym i 30-lecia utworzenia Układu Warszawskiego Ogólnopolska Wystawa pod nazwą „Drogi do zwycięstwa”. Wystawę organizują: Ministerstwo Obrony Narodowej, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Związek Artystów Rzeźbiarzy, Stowarzyszenie Polskich Artystów Grafików Projektantów oraz Centralne Biuro Wystaw Artystycznych.

Jego głównym celem jest zachęcenie twórców do podejmowania w działalności kulturalnej szeroko rozumianej tematyki wojskowej, a w efekcie powstanie prac plastycznych o wysokich walorach artystycznych, ukazujących tradycje bojowe i współczesność ludowego Wojska Polskiego.

Tematyka wystawy obejmuje szeroki zakres zagadnień dotyczących udziału Polaków w czynnie zbrojnym podczas II wojny światowej, tradycji bojowych ludowego Wojska Polskiego, a szczególnie jego wkładu w odzyskanie niepodległości Polski i w ostatecznym rozgromieniu faszystów. Ważnym akcentem wystawy będzie dział poświęcony pokojowej służbie żołnierskiej — współczesnemu życiu wojska, jego wkładowi w odbudowę i rozwój kraju oraz pomocy dla społeczeństwa we wszystkich jej przejawach, wysiłkowi żołnierza na jego trudnym, patriotycznym, wspaniałym wyścigu posterunku. Do udziału w wystawie zaprasza się twórców profesjonalnych oraz dyplomatów wyższych uczelni plastycznych. Każdy twórca może przedstawić prace z dziedziny malarstwa, grafiki, rzeźby i medalerstwa oraz tkaniny artystycznej. Autorem pozostawia się swobodę wyboru tematów w ramach elementarnych programowych. Pożądane jest uwzględnienie w pracach istotnych elementów mocy obronnej naszego wojska, tradycji i współczesności, braterstwa broni z Armią Radziecką i innymi sojusznymi armiami państw socjalistycznych.

Wystawa składać się będzie z takich działów plastycznych, jak: malarstwo, rzeźba i medalerstwo, grafika, tkanina. Oceny przedstawionych prac dokonają powołane przez organizatorów komisje, w których składzie znajdują się autorytatywne znawcy. One również zdecydują o nagrodach i wyróżnieniach w każdym z wymienionych wyżej działów wystawy. Na wystawę zakwalifikowane zostaną prace, gdzie dotychczas nie eksponowane, przygotowane z myślą o wystawie „Drogi do zwycięstwa”.

ZDZISŁAW DOMINO

Tradycja i współczesność

(CIAĞ DALSZY ZE STR. 3)

To wystawa Zbigniewa i Zdzisława Krygowskich z roku 1934 i w rok później scenograficzna realizacja „Pazdura” dla rzeszowskiej sceny dały okazję ówczesnemu recenzentowi „Zewu Rzeszowa” do zapoznania po raz pierwszy miejscowych czytelników z teorią impresjonistyczną.

Przybyli ze świata „wielkiej sztuki” młodzi artyści usłiwali przełamać miejscowe prowincjonalne nawyki myślenia i patrzenia, ale niewątpliwie tradycja ta wywiera także na nich swój wpływ. Artystyczna tradycja rodzinna, zafascynowanie pięknem pejzażu stron rodzinnych... „Każde blazowski, gdzie twórcą Klub Studencki „Blazowianka”, organizowali wspólnie z kolegą Władysławem Grażyńskim nie tylko zawody i turnieje sportowe, ale i co najważniejsze, przedstawienia teatralne dla ludności spratnioniej tego rodzaju rozrywki jak ryba wody i w latach

tych pokazaliśmy takie cuda, jak „Zemście”, „Dożywcie”... Scenografia, kostiumy, charakterystyka, reżyseria, gra na scenie — wszystko w naszych rękach. Były to wielkie osiągnięcia i przeżycia — pisze Zdzisław Krygowski o swoich związkach z rodzinną miejscowością. I zapewne to mocne osadzenie „Blazowianki” w konkretnej rzeczywistości spowodowało, że ich malarstwo nie uległo wpływom koloryzmu tak, jak można by się tego spodziewać choćby u Zbigniewa Krygowskiego, który ma za sobą prawie dwuletnie studia w Paryżu u prof. Pankiewicz, a stąd właśnie kapieć przenoszą program kolorystów na polski grunt.

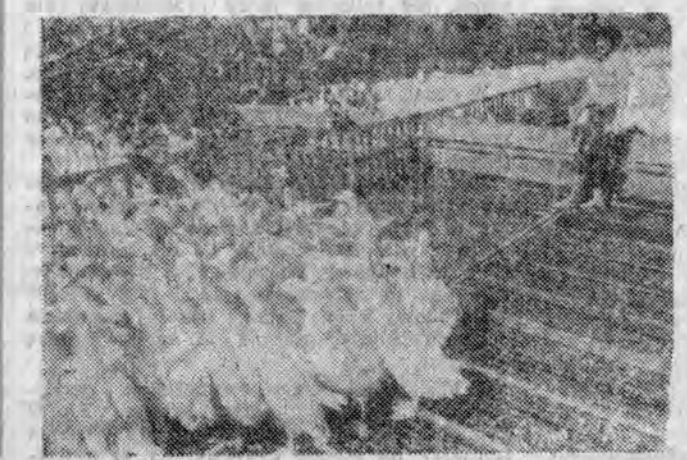
Chociaż sztuki tych trzech artystów nie wiąże określony program artystyczny, wprost przeciwnie, formalnie są bardzo różne zwłaszcza malarstwo Władysława Początki, który rozbudowuje obrazy niejako w trzech wymiarze w głąb — to jednak łączy ją to co można by nazwać pozytywnym stosunkiem do bodźców odbieranych bespo-

średnio od natury. Chyba najsilniej organizuje te płótna aktywny stosunek malarza do rzeczywistości i praca nad wydobyciem z motywu maksymalnych możliwości wyrazowych i dekoracyjnych.

W jeszcze większym stopniu dotyczy to malarstwa Karola Chudeckiego. W jego realistycznych pejzażach, martwych naturach związek z otaczającą rzeczywistością jest doprowadzony do maksimum, a równocześnie wydobycia artysta z tej rzeczywistości możliwie największą ilością dekoracyjnej. Takiej ilości dekoracyjnych, kolorowych — dekoracyjnych chyba przez swe niewielkie rozmiary — pejzaży i martwych natur nie mieliśmy jeszcze w Domu Sztuki.

Z innych doświadczeń wywodzą się pejzaże Władysława Michała Matusza. Będzie zewnętrzne stają się chyba dla niego coraz bardziej enigmatyczne. Obrazy jego są w swej istocie lirycznymi wizjami, chyba właśnie najbardziej w nich liryzmu choć w niektórych widak próby dramatycznego dynamizmu. Motywy pejzażu jest w nich tylko punktem zaczepienia i źródłem własnych doświadczeń w kształtowaniu dzieła.

JULIAN ATAMAN



Widoczne na zdjęciu jest, to właśnie te, którymi nie jesteśmy, bo swój język mamy. Czego dalszy dowód powyżej.

Fot. CAF — ST. MOROZ